

O WĘDROWCACH I PODRÓŻNIKACH

Na tej głębokości woda nie była nazbyt zimna, ale mimo to zmarzłem. Siedziałem na dnie pod skalnym nawisem i od godziny ostrożnie rozglądałem się na wszystkie strony, wpatrując się w zielonkawy, mętny mrok. Trzeba było siedzieć nieruchomo, gdyż siedmiornice są niezwykle czujne, można je spłoszyć każdym gwałtowniejszym ruchem lub najśłabszym dźwiękiem, a wtedy uciekną i wrócą dopiero w nocy. A w nocy lepiej z nimi nie zaczynać.

Pod moimi nogami wił się węgorz, a przed samym nosem chyba z dziesięć razy przepływał godnie tam i z powrotem pręgowany okoń. I za każdym razem zatrzymywał się i wybałuszał na mnie swoje bezmyślne okrągłe ślepie. Wystarczyło, żeby odpłynął, i pojawiało się stadko srebrzystego rybiego drobiazgu, który urządzał sobie pastwisko tuż nad moją głową. Kolana i ramiona miałem zupełnie zdrętwiałe z zimna i obawiałem się, że Maszka, nie mogąc się już doczekać, skoczy do wody, aby mnie szukać i ratować. Tak plastycznie wyobraziłem sobie, jak ona tam siedzi samotnie nad samym brzegiem i czeka, i boi się o mnie, i chce nurkować, że postanowiłem wypłynąć. Ale właśnie w tym momencie z zarośli, oddalonych ode mnie o jakieś dwadzieścia kroków, wypłynęła siedmiornica.

Był to spory okaz. Szary, okrągły tułów ukazał się nagle i bezdźwięcznie jak widmo. Białawy worek miękko i jakoś leniwie pulsował, wciągając i wyrzucając wodę, i z lekka kołysał się z boku na bok. Końce podkurczonych macek, podobne do strzępów dużej szmaty, ciągnęły się za nią i matowo błyszcząca w ciemności szczelina na pół otwartego oka. Siedmiornica płynęła powoli, jak zwykle w czasie dnia, w dziwnym odrętwieniu, nie wiadomo dokąd i nie wiadomo po co. Prawdopodobnie kierowały nią najbardziej prymitywne i niejasne impulsy, te same, które kierują ruchami ameby.

Powoli uniosłem lufę strzelby celując w rozdęty na grzbiecie worek. Srebrzysty rybi drobiazg nagle rzucił się do ucieczki i znikł, i wydało mi się, że powieka nad wielkim szklistym okiem drgnęła. Nacisnąłem spust i natychmiast odbiłem się od dna, aby uniknąć żrącej sepji. Kiedy po chwili spojrzałem w tamtą stronę, siedmiornicy już nie było i tylko gęsty, niebieskawoczarny obłok rozpościerał się w wodzie zasłaniając dno. Wypłynąłem na powierzchnię i skierowałem się do brzegu.

Dzień był upalny i pogodny, nad wodą unosiła się błękitna mgiełka, niebo było czyste i białe, i tylko nad lasem piętrzyły się, jak wieżyce zamku, nieruchome niebieskawe chmury.

Na trawie przed naszym namiotem siedział nieznajomy człowiek w kolorowych kąpielówkach i z opaską na czole. Był opalony i nie tyle muskularny, co jakoś nieprawdopodobnie żyłasty, jakby opleciony linami pod skórą. Widać było od razu, że jest ogromnie silny. Naprzeciwko niego stała moja Maszka w granatowym kostiumie kąpielowym — czarna, długonoga, z szopą wypłowiałych od słońca włosów nad szczupłymi ramionami. Zamiast oczekiwać z niepokojem swojego papy, z ożywieniem opowiadała coś temu żyłastemu facetowi, wymachując przy tym rękami. Poczuliśmy się nieco urażony, że nawet nie zauważyła mojego powrotu. Ale facet zauważył. Szybko zwrócił głowę w moją stronę i uśmiechając się pomachał ręką. Maszka odwróciła się i z radością zawołała:

— A, jesteś!

Wyszedłem z wody, zdjąłem maskę i wytarłem twarz. Facet przyglądał mi się z uśmiechem.

— Ile naznaczyłeś? — spytała Maszka rzeczowo.

— Jedną — powiedziałem z trudem, bo kurcz ścisnął mi szczęki.

— Ech, ty! — powiedziała Maszka.

Z jej pomocą zdjąłem aparat tlenowy i wyciągnąłem się na trawie.

— Wczoraj naznaczył dwie — wyjaśniła Maszka. — Przedwczoraj cztery. Jak tak dalej pójdzie, lepiej od razu przenieść się nad inne jezioro. — Chwyła ręcznik i zaczęła rozcierać mi plecy. — Wyglądasz teraz jak mrożona gęś — oświadczyła. — A to jest Leonid Andriejewicz Gorbowski. Astroarcheolog. A to mój tato. Nazywa się Stanisław Iwanowicz.

Żyłasty Leonid Andriejewicz skłonił głowę z uśmiechem.

— Zmarł pan? — spytał. — A tutaj tak przyjemnie: słońce, trawka...

— Zaraz dojdzie do siebie — powiedziała Maszka, nacierając mnie z całej siły. — W ogóle to on jest wesoły, tylko zmarł diabelnie...

Widać było, że naopowiadała o mnie niestworzonych rzeczy i teraz ze wszystkich sił stara się ratować moją reputację. Niech sobie ratuje. Ja nie miałem na to czasu — zajęty byłem szczękaniem zębami.

— Niepokoiłiśmy się o pana — powiedział Gorbowski. — Chcieliśmy nawet pana szukać, ale ja nie umiem nurkować. Panu na pewno trudno sobie nawet wyobrazić człowieka, który nigdy nie musiał nurkować przy pracy... — Gorbowski odchylił się do tyłu, przekreślił na bok i podparł łokciem. — Jutro odlatuję — zwierzył się nam. — Po prostu nie wiem, kiedy znów będą miał okazję poleżeć na trawie nad jeziorem i ponurkować z aparatem tlenowym.

— Niech pan korzysta — zaproponowałem.

Uważnie popatrzył na aparat i dotknął go.

— Z chęcią — powiedział i położył się na wznak. Założył ręce pod głowę i popatrzył na mnie, mrugając z wolna rzadkimi rzęsami. Było w nim coś nieodparcie sympatycznego. Trudno nawet określić co. Może oczy — ufne i trochę smutne. A może to, że ucho jakoś tak śmiesznie odstawało mu spod przepaski. Napatrzywszy się na mnie, przeniósł wzrok na błękitną ważkę, kołyszącą się na źdźble trawy. Wysuwając wargi zaczął do niej czule szeptać: — Ważko... ważeczko... błękitna rusalko jeziorna... ślicznotko! Siedzi sobie grzeczniutko i patrzy, kogo by tu zeżreć... — Wyciągnął rękę, ale ważka zerwała się i zakreślając parabolę pomknęła w stronę trzcin. Odprowadził ją wzrokiem i położył się z powrotem. — Jakie to wszystko skomplikowane, przyjaciele — powiedział, i Maszka natychmiast usiadła, wpatrując się w niego okrągłymi oczami... — Ona jest doskonała, piękna i ze wszystkiego zadowolona. Zjeść muchę, rozmnożyć się, a później umrzeć. Prosto, elegancko i racjonalnie. Żadnych rozterek duchowych, cierpień miłosnych, samoanalizy, szukania sensu istnienia...

— Maszyna — wtrąciła się nagle Masza. — Bezmyślny robot!

Macie moją Maszkę! Omal się nie roześmiałem, ale opanowałem się i chyba tylko sapnąłem, bo spojrzęła na mnie karcąco.

— Bezmyślny — zgodził się Gorbowski. — Właśnie. A teraz wyobraźcie sobie, przyjaciele, ważkę jadowicie żółtozieloną w czerwone pasy, rozpiętość skrzydeł siedem metrów, na szczękach czarny, obrzydliwy śluz... Wyobraziliście sobie? — Podniósł brwi i popatrzył na nas. — Widzę, że nie. Bo ja uciekałem przed nimi na złamanie karku, chociaż miałem przy sobie broń... I oto pytanie, co mają ze sobą te dwa bezmyślne roboty?

— Ta zielona — spytałem — to z jakiejś innej planety?

— Oczywiście.

— Z Pandory?

— Właśnie z Pandory — powiedział.

— I co mają wspólnego?

— Tak. Co?

— To jasne — powiedziałem. — Jednakowy stopień wykorzystania informacji. Reakcja na poziomie instynktu.

Gorbowski westchnął.

— Słowa — powiedział. — Naprawdę niech pan się nie gniewa, ale to tylko słowa. To mi nie pomoże. Mam szukać śladów rozumu w kosmosie, a nie wiem, co to jest rozum. A tu mówią mi o różnych stopniach wykorzystania informacji. Dobrze wiem, że ten stopień jest

różny u mnie i u ważki, ale przecież to tylko intuicja. Niech pan mi powie na przykład: oto znajduję kopiec termitów — czy to jest ślad rozumu, czy nie? Na Leonidzie znaleziono budowle bez drzwi i okien — czy to są ślady rozumu? Czego mam szukać? Ruin? Napisów? Zardzewiałych gwoździ? Śrubek? Skąd mogę wiedzieć, jakie oni pozostawiają ślady? A może dla nich celem życia jest niszczenie atmosfery wszędzie, gdzie ją spotykają? Albo budowania pierścieni wokół planet. Albo hybrydyzacja życia. Albo tworzenie życia. A może ta ważka naprawdę jest aparatem cybernetycznym, od niepamiętnych czasów nastawionym na samoodtworzenie się? Że już nie wspomnę o samych istotach rozumnych. Przecież można dwadzieścia razy przejść obok śliskiego cielska chrząkającego w kałuży i tylko nos zatykać. A cielsko wpatruje się w ciebie pięknymi żółtymi oczkami i myśli: „Ciekawe. Niewątpliwie nowy gatunek. Trzeba by wrócić tu z ekspedycją i schwytać choć jeden okaz...”

Przykrył oczy dłonią i zamruczał piosenkę. Maszka pochłaniała go wzrokiem i czekała. Ja również czekałem i myślałem ze współczuciem: ciężko jest pracować, kiedy nie ma się jasno określonego celu. Trudno pracować. Snujesz się po omacku, nie masz zadowolenia z pracy. Słyszałem o tych astroarcheologach. Nie można ich traktować poważnie. Zresztą nikt ich nigdy poważnie nie traktował.

— A jednak rozum w Kosmosie jest — powiedział niespodziewanie Gorbowski. — Nie ulega wątpliwości. Teraz już wiem to na pewno. Tylko że nie taki, jak sobie wyobrażaliśmy. Nie taki, jak się spodziewaliśmy. I szukamy go nie tam, gdzie trzeba. Albo nie tak, jak trzeba. I po prostu sami nie wiemy, czego szukamy...

„Właśnie — pomyślałem. — Nie ten, nie tam, nie tak... Przecież to niepoważne. Czysta dziecinada, szukać śladów myśli, unoszących się w powietrzu.”

— Weźmy na przykład Głos Pustki — kontynuował Gorbowski. — Słyszeliście o nim? Na pewno nie. Pół wieku temu pisano o tym, a teraz już się nawet nie pisze. Dlatego że, uważacie, nie ma w nim żadnych zmian, a skoro nie ma zmian, to może i samego Głosu nie ma? Przecież nie brak u nas tych ptaszków, co to sami w nauce nie bardzo się orientują na skutek lenistwa czy też błędów edukacji, ale ze słyszenia wiedzą, że człowiek jest wszechmogący. Wszechmogący, a Głosu Pustki nie może zrozumieć. Ajaj, co za wstyd, lepiej tego nie ruszać... Taki taniutki antropocentryzm...

— A co to jest, ten Głos Pustki? — zapytała cicho Masza.

— Jest takie ciekawe zjawisko. Jeśli na niektórych kierunkach w Kosmosie nastawić radiodbiornik pokładowy na samostrojzenie, to wcześniej czy później nastroi się on na dziwną audycję. Odzywa się głos spokojny i obojętny, powtarzający wciąż to samo zdanie w jakimś niezemskim języku. Chwytają ten głos od wielu lat i od wielu lat powtarza to samo. Słyszałem go, i wielu innych go słyszało, ale mało kto o tym opowiada. To niezbyt przyjemne wspomnienie. Przecież do Ziemi jest ogromnie daleko. W eterze cisza — nawet zakłóceń nie ma, tylko słabiutkie trzaski. I nagle rozlega się ten głos. A ty jesteś sam na wachcie. Wszyscy śpią, cisza, strach cię oblatuje — i nagle ten głos. Tak, słowo honoru, że to nieprzyjemne. Wielu głowiło się nad rozszyfrowaniem tej tajemnicy, wielu głowi się do dzisiaj, ale sądzę, że to tylko strata czasu. Są i inne zagadki. Piloci kosmiczni wiele mogliby opowiedzieć, ale nie lubią tego robić... — Umilkł na chwilę i dodał z jakimś smutnym uporem: — Trzeba to zrozumieć. To nie są proste sprawy. Nie wiemy przecież nawet, czego się spodziewać. Oni mogą się z nami spotkać w każdej chwili. Twarzą w twarz. I — zrozumcie to — mogą się okazać istotami stojącymi nieskończenie wyżej od nas. Dyskutuje się o starciach i konfliktach, o jakimś tam odmiennym pojmowaniu humanitaryzmu i dobra, a ja nie tego się boję. Boję się niebywałego poniżenia ludzkości, gigantycznego szoku psychicznego. Jesteśmy przecież tacy dumni z siebie. Zbudowaliśmy taki wspaniały świat, wiemy tak dużo, wdarliśmy się do wielkiego Kosmosu, dokonujemy tam odkryć, przeprowadzamy badania, poszukiwania. A dla nich ten kosmos jest rodzinnym domem. Żyją w nim od milionów lat, tak jak my na Ziemi, i dziwią się nam: skąd coś takiego pojawiło się wśród gwiazd?...

Zamilkł nagle i zerwał się gwałtownie, nad słuchując... Aż się wzdrygnąłem.

— Grzmi — cichutko powiedziała Maszka. Patrzyła na niego z półotwartymi ustami. — Grzmi... Idzie burza...

Gorbowski wciąż nad słuchiwał wpatrując się w niebo.

— Nie, to nie grzmot — powiedział wreszcie i usiadł z powrotem. — To liniowiec. Widzicie?

Na tle błękitnych chmur błysnął i zgasł jaskrawy płomyk. I znowu rozległ się jakby grzmot.

— Siedź teraz i czekaj — powiedział niezrozumiale. Spojrzał na mnie uśmiechając się, a w oczach miał smutek i napięcie oczekiwania. Potem wszystko zniknęło i oczy znów ufnę jak przedtem.

— A czym pan się zajmuje, Stanisławie Iwanowiczu? — spytał.

Uznałem, że pragnie zmienić temat, i zacząłem opowiadać o siedmiornicach. Że zaliczają się do podgromady dwuskrzelowych, gromady głowonogich mięczaków i stanowią oddzielną, nie znaną dotychczas rodzinę rzędu ośmiornic. Charakterystyczne ich cechy to redukcja trzeciej lewej macki, wykształcającej się w hectotylus, trzy rzędy przysawek na mackach, całkowity zanik muszli, niezwykle silny rozwój serc żylnych, maksymalna dla głowonogów koncentracja centralnego systemu nerwowego i niektóre inne mniej ważne szczegóły. Po raz pierwszy odkryto je niedawno, kiedy pojedyncze osobniki pojawiły się u wschodnich i południowo—wschodnich wybrzeży Azji. A po roku zaczęto je znajdować w dolnym biegu wielkich rzek: Mekongu, Jangcy, Huangho i Amuru, a także w jeziorach dosyć oddalonych od oceanu — jak choćby w tym oto. Jest to czymś zaskakującym, dlatego że głowonogi żyją wyłącznie w wodach słonych i unikają nawet wód arktycznych ze względu na ich mniejsze zasolenie. Poza tym prawie nigdy nie wychodzą na ląd. Jednak fakt pozostaje faktem: siedmiornice znakomicie czują się w wodzie słodkiej, a także wychodzą na ląd. Włazą do łódek i na mosty, a niedawno znaleziono dwa okazy w lesie, trzydzieści kilometrów stąd...

Maszka nie słuchała — już jej to wszystko opowiadałem. Poszła do namiotu, przyniosła stamtąd miniaturowy radioodbiornik i włączyła go na samostrojenie. Widocznie bardzo chciała usłyszeć Głos Pustki.

Gorbowski słuchał mnie uważnie.

— Czy te dwie były żywe? — spytał.

— Nie, znaleziono je nieżywe. Ten las jest rezerwatem. Siedmiornice zostały stratowane i częściowo pożarte przez dziki. Ale w odległości trzydziestu kilometrów od wody jeszcze żyły! Ich jamy płaszczowe były wypełnione wilgotnymi wodorostami. Widocznie w ten sposób siedmiornice tworzą pewien zapas wody, pozwalającej im wędrować po lądzie. Wodorosty pochodziły z jeziora. Niewątpliwie siedmiornice wędrowały z tych jezior dalej na południe, w głąb lądu. Trzeba zaznaczyć, że wszystkie schwytane dotychczas osobniki były dorosłymi samcami. Ani jednej samicy, ani jednego młodego. Być może, samice i młode nie mogą żyć w słodkich wodach i wychodzić na ląd. Wszystko to jest bardzo ciekawe — powiedziałem. — Przecież normalnie zwierzęta morskie zmieniają gwałtownie sposób życia tylko w okresach rozmnażania się. Wówczas instynkt zmusza je do przenoszenia się w całkowicie odmienne warunki. Ale w tym wypadku nie może być nawet mowy o rozmnażaniu. Tutaj działa jakiś inny instynkt, być może jeszcze starszy i potężniejszy. Głównym naszym zadaniem teraz jest prześledzenie szlaków ich migracji. I oto siedzę w tym jeziorze po dziesięć godzin na dobę pod wodą. Dzisiaj naznaczyłem jedną. Jeśli będę miał szczęście, to do wieczora naznaczę jeszcze jedną czy dwie sztuki. A nocą stają się one niezwykle aktywne i atakują wszystko, co się do nich zbliży. Były nawet wypadki atakowania ludzi. Ale tylko w nocy.

Maszka włączyła odbiornik na pełny regulator i lubowała się potężnymi dźwiękami.

— Trochę ciszej, Masza — poprosiłem.

Masza przyciszyła radio.

— Więc pan je naznacza — powiedział Gorbowski. — Ciekawe, w jaki sposób?

— Za pomocą generatorów ultradźwiękowych. — Wyjąłem ze strzelby magazynek i pokazałem mu ampułkę. — Strzelam takimi właśnie kulkami. Znajdują się w nich generatory, wysyłające ultradźwięki dające się odbierać pod wodą w promieniu 20–30 kilometrów.

Gorbowski ostrożnie wziął jedną ampułkę i przyglądał się jej z uwagą. Twarz jego stała się przy tym smutna i stara.

— Sprytne — zamruczał. — Proste i sprytne...

Jeszcze przez chwilę obracał ampułkę w palcach, jakby badając ją, potem położył ją przede mną na trawie i wstał. Ruchy miał powolne i niepewne. Odszedł kilka kroków w stronę swojego ubrania, rozrzucił je, znalazł spodnie i zastygł trzymając je przed sobą.

Obserwowałem go z uczuciem niejasnego niepokoju. Maszka trzymała w ręku strzelbę, aby pokazać, jak się z nią obchodzić, i również wpatrywała się w Gorbowskiego. Kąciki ust miała żałośnie opuszczone. Od dawna zauważyłem, że często przybiera bezwiednie taki sam wyraz twarzy jak człowiek, którego obserwuje.

Gorbowski nagle odezwał się bardzo cicho i jakby z kpiną w głosie:

— Zabawne, słowo daję... Jaka oczywista analogia. Przez stulecia siedziały w głębinach, a teraz wypłynęły i wyszły w obcy, wrogi im świat... I co je goni? Niejasny, prastary instykt, powiada pan? A może poziom wykorzystania informacji przekroczył u nich próg niepowstrzymanej ciekawości? Przecież lepiej by im było siedzieć w domu, w słonej wodzie, ale coś je ciągnie... ciągnie na brzeg... — Wstrząsnął się cały i zaczął wkładać spodnie. Miał staromodne, długie spodnie i wkładając je podskakiwał na jednej nodze. — Prawda, Stanisławie Iwanowiczu, że to chyba nie są zwykłe głowonogi, co?

— W swoim rodzaju, oczywiście — zgodziłem się.

Ale on już mnie nie słyszał. Odwrócił się w stronę radiodbiornika, cały zapatrzony. I my z Maszą również patrzyliśmy w stronę aparatu. Rozległy się z niego mocne i nieprzyjemne dla ucha sygnały, przypominające zakłócenia wywoływane pracą aparatu rentgenowskiego. Maszka odłożyła strzelbę.

— Sześć i osiem setnych metra — powiedziała w zamyśleniu. — Chyba jakaś stacja usługowa.

Gorbowski przysłuchiwał się sygnałom z zamkniętymi oczyma i przechylną na bok głową.

— Nie, to nie stacja usługowa — powiedział — to ja.

— Jak to?

— To ja. Ja nadaję. Leonid Andriejewicz Gorbowski.

— Po co?

Roześmiał się niewesoło.

— Rzeczywiście, po co? Bardzo bym chciał wiedzieć, po co. — Włożył koszulę. — Dlaczego trzech kosmonautów i ich statek po powrocie z rejsu EN 101 — EN 2657 stali się źródłem fal radiowych o długości sześć i osiemdziesiąt trzy setne?

Milczeliśmy. On również zamilkł na chwilę, zapinając sandały.

— Badali nas lekarze. Badali nas fizycy. — Wyprostował się i otrzepał ze spodni piasek i żółta trawa. — Wszyscy doszli do tego samego wniosku: to jest niemożliwe. Można by skonać ze śmiechu patrząc na ich zadziwione oblicza. Ale nam było, słowo daję, nie do śmiechu. Obozów zrezygnował z urlopu i odleciał na Pandorę. Oświadczył, że woli promieniować jak najdalej od Ziemi. Walkenstein poszedł pracować na stacji podwodnej. Tylko ja jeden chodzę i promieniuję. I przez cały czas na coś czekam. Czekam i boję się. Boję się, ale czekam. Czy pan mnie rozumie?

— Nie wiem — powiedziałem i kątem oka spojrzałem na Maszkę.

— Ma pan rację — powiedział. Wziął aparat i w zamyśleniu przyłożył go do odstającego ucha. — I nikt nie wie. Tak już jest od miesiąca. Bez przerw, bez osłabień. Ua–ui... Ua–ui... W dzień i w nocy. W radości i zmartwieniu. Po jedzeniu i na głodnego. Przy pracy i w czasie odpoczynku. Ua–ui... A promieniowanie „Tariela” spada. „Tariel” to mój statek. Stoi teraz w hangarze. Zamknięty na wszelki wypadek. Jego promieniowanie zakłóca pracę jakichś agregatów na Wenus, przysyłają stamtąd zażalenia, awanturują się... Jutro odprowadzę go gdzieś dalej... — Gorbowski wyprostował się i klepnął się długimi rękami po biodrach. — No, na mnie czas. Do widzenia! Życzę wam powodzenia. Do widzenia, Maszeńko! Proszę sobie nad tym nie łamać głowy, to bardzo trudna zagadka, słowo daję.

Podniósł na pożegnanie rękę, pomachał nią i poszedł — długi, kanciasty. Patrzyliśmy za nim. Przy namiocie zatrzymał się i powiedział:

— Wiecie... starajcie się jednak możliwie delikatnie z tymi siedmiornicami... Bo tak się naznacza, naznacza, a ten naznaczony ma z tego same nieprzyjemności.

I odszedł. Poleżałem chwilę na brzuchu, potem spojrzałem na Maszkę. Maszka wciąż jeszcze patrzyła za nim. Od razu było widać, że Gorbowski zrobił na niej wrażenie. A na mnie nie. Wcale mnie nie wzruszały jego spekulacje na temat tego, że inne istoty rozumne z Kosmosu mogą się okazać o wiele bardziej inteligentne od nas. A niech tam. Według mnie, im wyżej będą stać, tym mniejsze będą szansę, że się na nas natkną. To tak jak płotki, którym nie strasza sieć z dużymi oczkami. A co do dumy, poniżenia, szoku... Na pewno to przeżyjemy. Ja, na przykład, mogę to przeżyć. I także to, że odkrywamy dla siebie i badamy Wszechświat, który oni znają od dawna — i cóż takiego? My przecież go nie znamy! A oni są dla nas tylko częścią przyrody, którą również trzeba odkryć i zbadać, choćby przewyższali nas wielokrotnie... Oni są dla nas częścią otaczającego nas świata! Chociaż, z drugiej strony, gdyby mnie naznaczono, tak jak ja znaczą siedmiornice...

Spojrzałem na zegarek i od razu siadłem. Trzeba było wracać do pracy. Zapiisałem numer ostatniej ampułki. Sprawdziłem aparat do nurkowania. Przyniosłem z namiotu lokator ultradźwiękowy i włożyłem go do kieszonki kąpielówek.

— Pomóż mi, Masza — powiedziałem i zacząłem wkładać aparat.

Masza wciąż jeszcze siedziała przed radioodbiornikiem i słuchała niemilknącego „ua–ui”. Kiedy pomogła mi już włożyć aparat, razem weszliśmy do wody. Pod wodą włączyłem lokator. Odezwały się sygnały: to naznaczone przeze mnie siedmiornice sennie snuły się po jeziorze. Popatrzyliśmy na siebie znacząco i wypłynęliśmy na powierzchnię. Maszka wypluła wodę, odgarnęła mokre włosy z czoła i powiedziała:

— Jest przecież różnica między statkiem kosmicznym i wodorostami w jamie płaszczowej.

Kazałem jej wrócić na brzeg, a sam zszedłem pod wodę. Nie, na miejscu Gorbowskiego nie niepokoiłbym się. Wszystko to jest zbyt niepoważne. Jak i cała jego astroarcheologia. Ślady myśli... Szok psychiczny... Nie będzie żadnego szoku. Najprawdopodobniej wcale się nawzajem nie zauważymy. Zresztą, powiedzcie, sami, po jakie licho mieliby się nami interesować?

Przetłumaczył Lech Jęczmyk